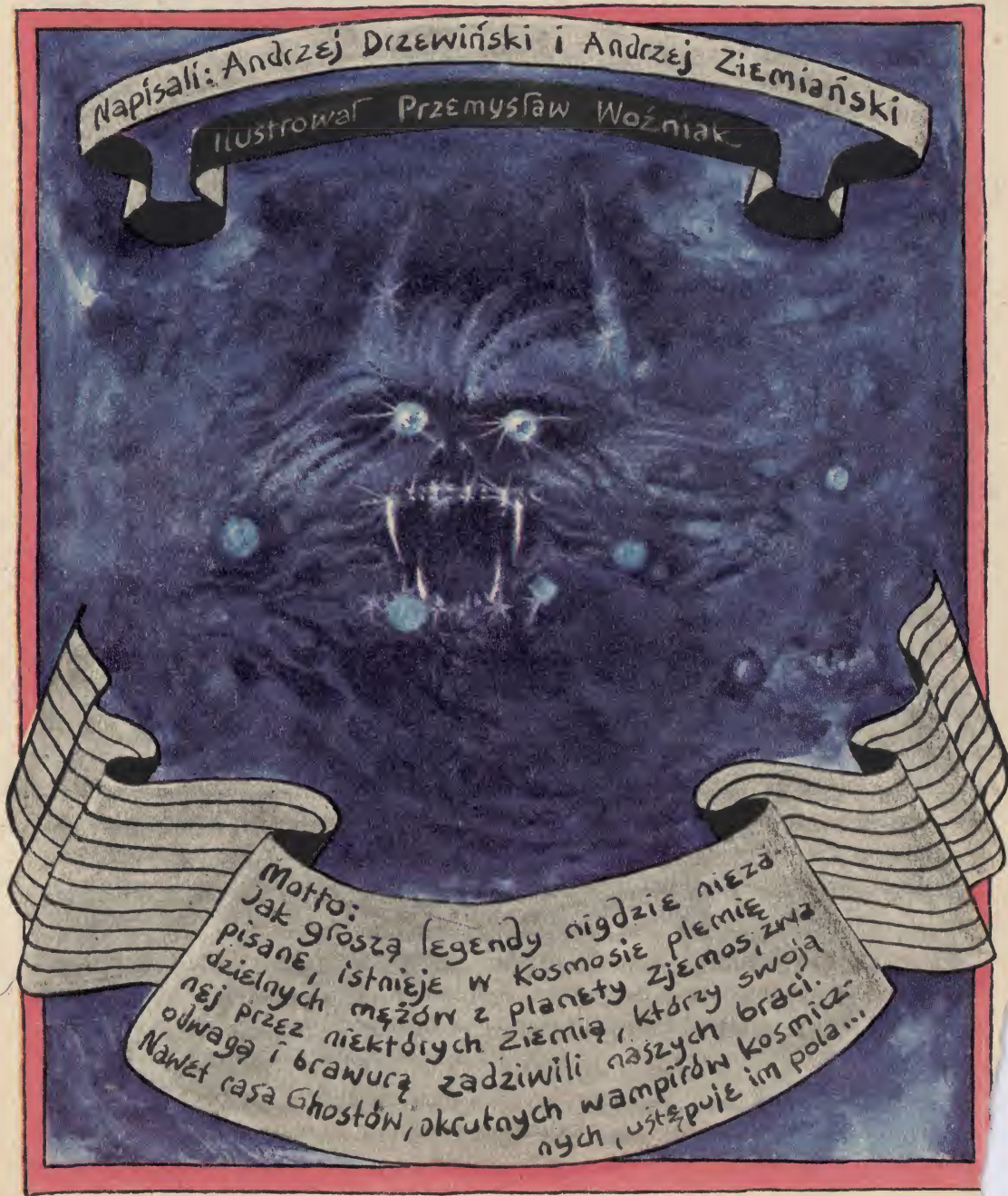


GHOST

©1985

Napisali: Andrzej Drzewiński i Andrzej Ziemiański
Ilustrował Przemysław Woźniak



Motto:
Jak głośno legendy nigdzie nie są
pisane, istnieje w Kosmosie plemię
dzielnych mężów z planety Zjemos, zwa-
nej przez niektórych Ziemią, którzy swoją
odwagę i brawurą zadziwili naszych braci.
Nawet rasa Ghostów, okrutnych wampirów kosmicz-
nych, ustępuje im pola...

Ghost wisiał w bezmiarze próżni i sunął po promieniu energetycznym do najbliższego skupiska gwiazdowego, gdzie spodziewał się znaleźć cywilizację na poziomie co najmniej technicznym. Przypominając kulę rozświetlonej mgły zlewał się z welonami dalekich galaktyk i nic dziwnego, że jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby ktokolwiek go rozpoznał. Tak też było i z jego ostatnią ofiarą. Były to rozumne jaszczury z jakiegoś układu w centrum galaktyki. Ghost zastosował zwykłą, ale jakże skuteczną metodę.

Dopał ich statek, gdy wychodzili z własnego układu słonecznego i dostał się do środka. Z trudem, bo z trudem, ale potrafił przechodzić przez każdą materię. Na pokładzie uaktywnił zmysł telepatyczny i zlustrował mózgi istot. Tym sposobem dowiedział się, czego się najbardziej obawiają. Można rzec, że nie szczęściny sami podali swój najczulszy punkt. W ich wypadku był to stos energetyczny. Ghost zniszczył zabezpieczenie kilkoma ciosami energii i musiał przyznać, że istoty miały się o co obawiać. Bąbel ognia i pyłu gonił go przez wiele tysięcy kilometrów. Zresztą, sam to sobie przyznał, od jakiegoś czasu stał się bardzo pewny siebie, wręcz nonszalancki. Ale jakże miał być inny kiedy nigdzie nie natrafił na godnego przeciwnika. Naturalnie czasami istoty stawiały opór, lecz mimo poświęcenia i szaleńczej woli walki ginęły jedna po drugiej pod jego morderczymi ciosami.

– Ach – drgnął cały przypominając rozkoszne drżenie jakie towarzyszyło każdej śmierci.

Jedynego uczucia, które mógł z tym porównać, nie dane mu było zaznać od wielu dziesiątek lat. Niestety, samc jego gatunku było tak mało, że nawet jeśli na taką się trafiło, to można było mieć pewność, iż w pobliżu waruje co najmniej kilku z jego współbraci. Ostatnio starał się sam siebie przekonać, że jego, starego samotnika niewiele to obchodzi.

Raptem poczuł drgania nadzmysłowe

i rad, że może przestać myśleć o głuptwach skoncentrował się. Nie dalej, jak w odległości pół roku świetlnego przelatywał statek kosmiczny. Ghost nadał się jak balon, zerwał promień energetyczny i wystrzelił nowy w kierunku masy statku. Przyssał się i deformując przestrzeń pomknął ku niemu...



Martin przewrócił się na drugi bok i głośno zachrapał. Robił to co noc i praktycznie rzecz biorąc, powinni się wszyscy już do tego przyzwyczaić. Nie dotyczyło to jednak Roberta, który zaklął przez zęby i wychylił się poza koję. Ciemność kryła twarz Martina przed jego morderczym wzrokiem. Zastanowił się chwilę, a potem zagwizdał. Nic. Powtórzył to raz jeszcze, tylko głośniejsze.

– Skretyniałeś?! – warknął z mroku czyjś głos.

Robert nie rozróżniał głosu Starego od głosu Bogdana, więc na wszelki wypadek nie odezwał się, lecz olśniony nagłą myślą przekreślił się na drugi bok. Bezszelestnie otworzył małą skrytkę, którą swojego czasu przerobił na chłodziarkę. Niezgrabnie wyjął dwie kostki lodu i łokciem zamknął drzwiczki.

Pierwszy pocisk chybił, ale drugi musiał dojść celu, gdyż chrapanie umilkło, przechodząc w rozpaczliwe stękanie. Później Martin uniósł się na łokciu i zrzucił łód na podłogę. Chwilę się zastanowił.

– Robert, wiem, że to twoja robota – wyszeptał – Jesteś bydlak.

Wzywany leżał nieruchomo, śmiejąc się do podłówką.

– Eż ty... – sapnął Martin.

Wstał i poszedł na korytarz. Wyglądało, że miał kłopoty, gdyż nie było go na tyle długo, iż Robert zdążył usnąć w spokoju. Stary zdjął wyświetlacz, w tym samym momencie, kiedy Martin pakował się do łóżka i dlatego musiał przez dłuższą chwilę tkwić w bezruchu. Swo-

jego czasu był na tyle nieostrożny, że włączył przez pomyłkę fonię na zewnętrzny głośnik aparatu i chłopcy, wszyscy jak jeden mąż, wyskoczyli z łóżek słysząc:

– Dalej kochanie, jeszcze... – uzupełnione wiadomą intonacją.

Zaczerwienił się na to wspomnienie i jakby dla poprawy samopoczucia włączył ekran łączności wewnętrznej. Garmański mający dyżur w sali łączności, spał na dwóch fotelach z nogami opartymi o drzwi. Jak zwykle zapominał, że istnieje kamera. Inni, niby przez nieuwagę zastawiali obiektyw dziennikiem, albo czymś podobnym. Biedny Jurek, nigdy o tym nie pamiętał. Stary nie miał serca go budzić i wyłączył ekran. Sam również nie czuł się w porządku i wołał przypomnieć sobie przed zaśnięciem co cenniejsze fragmenty oglądanego filmu.

Ghost zjawił się pół godziny po jego zaśnięciu. Zawisł białą kulą pod sufitem i oświetlił ich twarze. Nawet się zdziwił, że tak łatwo idzie mu penetracja mózgow. Bali się, wszyscy się bali. W sposób jasny i namacalny tak, że bez problemu mógł się skoncentrować na zniszczeniu tego, co było im tak drogie. Parę błysków anihilacji i statek stał się uboższy o kilka przedmiotów. Nic się co prawda nie stało, ale Ghost był pewien swego. Rano, kiedy zobaczą co stracili, wpadną w panikę, a później czeka ich długa i powolna śmierć. Pewny siebie zwinął się w małą kulkę i zawisł w rogu sali...

★

– Niech szlag mnie trafi, jeśli nie uduszę tego drania! – wył Martin ścigając za nogi Roberta.

Tamten trzymał się przerażony oparcia i wyglądało, że trzeba go będzie ściągać wraz ze ścianą.

– A moje sztuczne sęby... to co? – seplenił Robert, w którego ustach ziała duża luka.

Jego świetną ceramiczną protezę diabli wzięli!

– Przestańcie! – ryknął Stary na dobre obudzony.

Martin mając w pamięci dawny dryl wojskowy puścił posłusznie Roberta, który pokuśtykał w kącie koi.

– Panie kapitanie, ten drań prześladowuje mnie od samego początku. Przedrzeźnia, budzi w nocy, ale żeby kraść mi portfel z całą forszą, to już bandytyzm!

Stary łypnął okiem.

– Gdzie miałeś gotówkę?

– Tu, pod pianką – mówił Martin odsłaniając lekko osmalone miejsce. – Pilnowałem jak oka w głowie. Musiał gwizdnąć jak wyszedłem w nocy do toalety.

– Ja cię przepraszam... – zaskrzeczał z tyłu Bogdan. – Ktoś mi...

Głos mu zamilkł i z głupią miną począł miętosić w rękę tekturowe pudełko.

– Co się stało? – spytał Stary udreżonym głosem.

– Nic, nic – odparł Bogdan. – Wydało mi się – dodał, mając nadzieję, że nikt nie zauważył, iż trzyma opakowanie po środku na porost włosów.

Ze świstem otworzyły się drzwi i wbiegł Garmański.

– Panie kapitanie – wystękał czerwony – Jakiś kretyn ukradł w nocy drzwi od sali łączności.

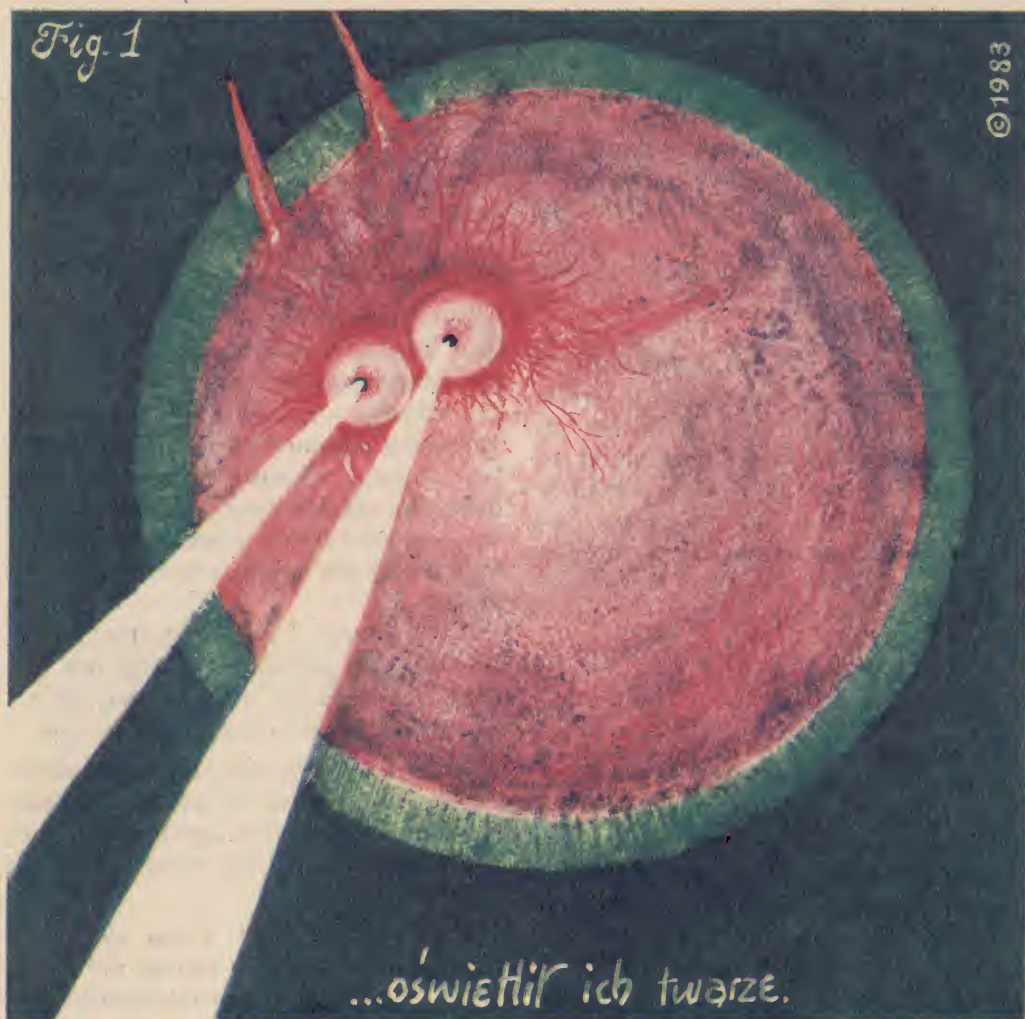
– Co ukradł? – Starego замуrowało i wydał odgłos przetykającego się zlewu.

Garmański idiotycznie wyszczerzył zęby.

– Drzwi. Całą noc opierałem się... to znaczy spoglądałem na nie, a tu trach... i została pusta futryna!

– Nie gadaj bzdur, one wasszą ponad szto kilo – wyseplenił Robert, ale zamilkł, gdyż Martin ponownie chciał go chwycić za nogi.

Stary podrapał się z wysiłkiem po łysinie i odruchowo zerknął na oparcie. Aparat holograficzny zniknął tak, jakby go tam nigdy nie było. Aż przysiadł i nie



ruszał się co najmniej przez kilka sekund. Gdy odzyskał równowagę, wszyscy z wyczekiwaniem zerkali w jego stronę. Obiecał sobie, że nigdy już nie poślakomi się na dodatek funkcyjny.

– Zaraz – zaczął – czy to znaczy, że wszystkim coś zginęło?

Każdy chciał potwierdzić, ale najwyraźniej przyszło im to samo do głowy, gdyż obrócili się w stronę koi Kelvina, szóstego członka załogi. Martin bezceremonialnie odrzucił koc ze śpiącego, jakby tam spodziewał się znaleźć swój portfel. Leżał tam jednak błogo uśmie-

chnięty Kelvin i puszczał ustami bąbelki śliny.

– Kelvin! – zawołał podchodząc Stary.

Zawołany podejrzanie gwałtownie otworzył jedno oko i powiedział:

– Cześć, chłopcy!

Następnie obrócił się na drugi bok.

– Kelvin!!! – huknął Martin.

To podrzuciło go nareszcie w górę.

– Przepraszam, panie kapitanie – zaczął się tłumaczyć, aby momentalnie zmienić ton – O cholera! Kto to zrobił?! – krzyknął rozpaczliwie.

Powiedli oczami za jego wzrokiem. Ramka, w której zawsze wisiał odpis rozwodu, była pusta.

– Kanalie! – piszczał Kelvin. – Pięć lat kosztowało mnie to i pół pensji na adwokatów – mówił prawie przez łyżę.

– Ale numer – stęknął ktoś z tyłu.

Stary miał dość.

– Zwariuję – jęknął i opędzając się wyszedł na korytarz.

Wybiegli za nim.

Po godzinie wrzasków postanowili, że nie będą spuszczać siebie z oczu, a później przeprowadzą rewizję. Stary co pięć minut prosił, aby winny się przyznał, gdyż daruje mu winę. Chociaż, sądząc z miny Martina, można było się domyślać wielu niedobrych rzeczy dla Roberta, gdyby to on miał się okazać sprawcą...



Ghost był zawiedziony. Sądził, że zniszczenie tak ważnych przedmiotów przynajmniej ich o śmierć. On zaś tylko wzmocnił im przemianę materii. „Każdy może się myślić” – pomyślał. Poza tym od początku czuł, że za łatwo idzie mu penetracja telepatyczna. Widać było, że musieli być w niej przeszkoleni. Uznał, że teraz musi wystąpić otwarcie. A potem, gdy go zaatakują, zniszczyć zwykłym sposobem. Był zadowolony, że zaliczy kolejne okazy do swej krwawej kolekcji.

Cała szóstka jadła śniadanie w ponurym milczeniu. Patrzyli na siebie spode łba i mimo wyszukanej uprzejmości wydawało się, że za chwilę czyjś talerz wylądował na jakiejś twarzy.

Ghost, który ukazał się na stole w postaci słupa światła nie wywarł z początku żadnego wrażenia poza tym, że Kelvin zakrzuszył się zupą. Dopiero głos, jaki odezwał się w ich mózgach wzbudził paniczny strach i przerażenie.

– Przybyłem po to, aby was unicestwić – charczało im w głowach. – Brońcie się, jak przystało istotom rozumnym.

– Niech pan nasz wysłucha... – zaczął Robert, ale eksplozja, która wybiła sporą dziurę w ścianie skróciła jego orację.

– To tylko mała część moich możliwości – powiedział świecący słup światła.

– Walczcie! – krzyknął i światło przybrało zielony odcień.

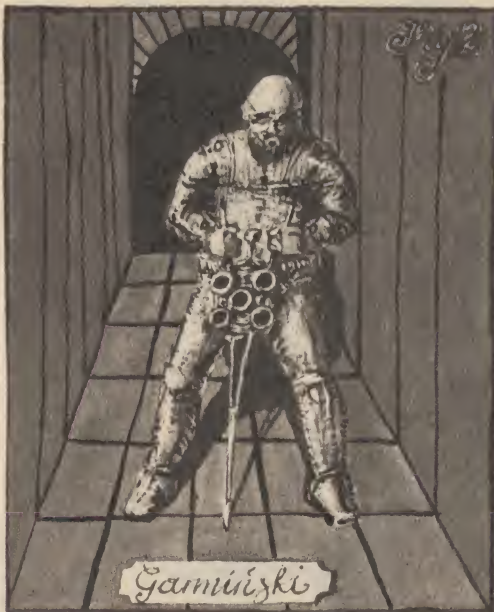
Było to pole molekularne, odwieczna broń Ghostów. Na moment zapadła cisza. Słup jakby czekał.

– Chodu! – ryknął Stary i wywracając stołek pognął na korytarz. Tylko na to czekali. Zakotłowało się przy drzwiach gdyż wszyscy chcieli opuścić salę, ale już z pomocą rąk i zębów dokonali tego i jak opętani rozbiegli się po statku.

– Tyraliera! – ryczał Martin, któremu coś się pomieszało, gdyż na siłę chciał się wcisnąć do schowka, tak na oko dwa razy mniejszego, niż on sam.

Kelvin opuścił salę na czworakach i nie tracąc czasu na wstawanie gnał w tej samej pozycji do szybu windy. Inni w równie urozmaicony sposób opróżnili korytarz.

Ghost skamieniał. Stała się rzecz, która logicznie rzecz biorąc nie miała prawa nastąpić. Istoty inteligentne nie walczyły o własne istnienie, lecz uciekły w panice. Nigdy, jak sięgał pamięcią, nikt tak nie postąpił. To było nie do uwierzenia! Tu Ghost zlustrował otoczenie i zadrzał. W oczekiwaniu na atak otoczył się polem molekularnym, które niszczy materię żywą. Przy ataku pole rozładowałoby się na istotach, a tak tkwi w jego kokonie i jeśli w ciągu najbliższych minut nie znajdzie żywej materii, to pole rozładuje się na nim samym. Zrozumiał, że wpadł we własne sidła. Nieleddie w panice wypłynął na korytarz. Najbliższa istota wciskała się do małego schowka. Widząc go wrzasnęła przeraźliwie i dokonała cudu zamykając za sobą drzwiczki.



Martin wciśnięty między dwa naoliwione roboty porządkowe nie wiedział, że jest bezpieczny. Ghost będąc w otoczeniu pola molekularnego, nie mógł przeniknąć przez materię, ani godzić ładunkami energii. Jak ognisty krzak przeleciał zatem przez cały poziom, lecz nie znalazł nikogo. Miał jeszcze minutę. Zsunął się otwartym szybem windy i natknął się na Garmińskiego, który wraz ze Starym wyciągał z magazynu eksploder.

Ręce młodego elektronika drgały tak potwornie, że pierwsza salwa ominęła o dobry metr ukazującego się Ghosta i rąbnęła w drzwi magazynu żywnościowego. W wyrwie ukazała się blada twarz Roberta, który widząc, iż Ghost pędzi w jego stronę, rzucił za siebie trzymane w rękę słoiki z majoneżem i bez namysłu zatrzaskał się w dużej lodówce.

Zrozpaczony Ghost zawrócił i ruszył ku Staremu. Ten kwiknął rozdzierająco i pobiegł kłusem do windy, lecz stąpawszy na rzucony przez Roberta majonez, rąbnął jak długi o podłogę. Trzeba przyznać, że zrobił to w samą porę. Nad głową gwizdnęła mu druga salwa oddana przez Garmińskiego. Tym razem wy-

waliło drzwi od gabinetu odnowy biologicznej. Ze stojącej przy drzwiach szafki wyprysnęły na korytarz nadpalone szpule magnetofonowe. Ghostowi nic się nie stało, ale zaskoczony eksplozją zatrzymał się na moment i to go zgubiło. Zrozumiał, że utracił władzę nad polem, które poczęło szaleńczo wirować. Targnął nim strach i ostatnim wysiłkiem woli ugodził jęczącego pod ścianą kapitana wiązką telepatyczną. Resztką świadomości wyczuł rzecz, której utraty ta istota zawsze się obawiała i, już ginąc, zniszczył ją ostatnim impulsem energii. Później prysnął czarnymi iskrami i znikł.

W korytarzu ponownie był spokój. Garmiński szedł zygzakiem do kapitana, będąc święcie przekonany, że to właśnie on unieszkodliwił bestię. Bełkotał bez zwięzku, że wcale mu nie zależy na nagrodzie i że to był jego obowiązek. Stary, który jeszcze nie doszedł do siebie, z nostalgią patrzył na utyłane w majonezie spodnie.

– Szefie, na litość boską – krzyknął z magazynku Bogdan.

– Wie pan, co ten bandzior zrobił?

Stary pokiwał posepnie głową.

– Rozwalił cały pański zapas whisky

– wyjaśnił tamten wypuszczając z lodówki Roberta.

Stary uniósł oczy „ku niebu”.

– A to łachudra – wyszeptał do sufitu, zza którego dobiegały wrzaski unieruchomionego w schowku Martina...



Tak brzmią ostatnie słowa opowieści, której znaczenia nikt już dobrze nie rozumie. Lecz jedno jest pewne. Rasy Ziemi należy unikać i dlatego też, gdy tylko się zjawiają, opuszczamy planety i układy słoneczne, aby nie spostrzegli naszej obecności. Muszą natrafiać na puste globy i martwe księżyce, gdyż tylko to uchroni nas przed odkryciem przez nich.